

Ile kosztuje życie?

29 października 2017

Jedno z ostatnich upublicznionych zdjęć Barry'ego Hinesa przedstawia go stojącego na tle ciągnącej się w dół ulicy w rodzinnej osadzie górniczej Hoyland Common. To nieopodal Barnsley w Południowym Yorkshire, jednym z głównych zagłębi węglowych w Anglii. Oczywiście wydobywania węgla już dawno tam nie ma. Nie ma też między nami samego Hinesa. Zmarł w marcu ubiegłego roku. Ostatni poważniejszy tekst napisał w roku 2000, niewiele później zdiagnozowano u pisarza chorobę Alzheimera. Nie ma już wydobywania węgla i nie ma już Hinesa, ale została jego książka „Cena węgla”. „The Price of Coal” to dwuczęściowy film telewizyjny z roku 1977, wyreżyserowany przez Kena Loacha na podstawie scenariusza Hinesa. Później, na bazie skryptu, powstała sama książka. Dokładnie odwrotnie było niemal dekadę wcześniej przy okazji takiej współpracy, dzięki której obaj twórcy stali się znani szerokiej publiczności. Hines w roku 1968 wydał swą drugą powieść, „A Kestrel for a Knave”, która przyniosła mu pewną popularność, a rok później Loach na jej podstawie nakręcił film zatytułowany „Kes” – piękną, popularną, dziś już wręcz kultową opowieść o przyjaźni wrażliwego chłopca i sokoła, osadzoną w realiach górniczej miejscowości i dość bezdusznego systemu społecznego i edukacyjnego.



„Cena węgla” – w dzisiejszych czasach brzmi to dość myląco. Spodziewamy się raczej analizy wpływu CO₂ na środowisko naturalne, jakość powietrza i klimat planety. A może rozprawy o tym, ile „wszyscy” „dopłacamy” do wydobycia węgla i utrzymania kopalń, w których jacyś dziwni ludzie – bo przecież ta narracja wskazuje, że nie należą do grona „wszystkich”, zwanych też czasami „podatnikami” – hobbystycznie lub na złość reszcie społeczeństwa zajmują się wydobyciem węgla. Którego, oczywiście, nikt nie chce i nie potrzebuje, bo przemysł nie bazuje na energetyce węglowej, w gniazdkach nie mamy prądu pochodzącego głównie z węgla, a nasze mieszkania i domy są zazwyczaj ogrzewane czymś innym.

Więc tak: to nie jest książka o klimacie ani o podatnikach. Jest o węglu i górnikach w epoce, w której cała nasza cywilizacja i dobrobyt bazowały na tym surowcu energetycznym. Bez niego nie byłoby prawie niczego, w tym nie byłoby późniejszych etapów rozwoju społeczeństwa, które już może myśleć i być w stanie przejść do rzeczywistości nie bazującej na węglu w tak dużym stopniu, a być może tylko w stopniu zaledwie niewielkim. Jest to książka o kapitalizmie, dążeniu do zysku, nieszanowaniu ludzkiej pracy i ludzkiego życia przez zarządców systemu. Jest o tym, że system, który oszczędza na ochronie zdrowia i życia zwykłych ludzi, nie oszczędza na fanaberii elit. Jest o tym, że zwykli ludzie dostrzegają

fałsz, niespójność i podłość tego wszystkiego, choć nie zawsze chcą i mogą to wyrazić lub są władni zmienić na lepsze. Nie jest to zatem książka o węglu, choć węgiel ma w tytule, a cała jej akcja kręci się wokół wydobywania węgla. Być może za 20 czy 50 lat ktoś napisze podobną książkę pod tytułem „Cena energii odnawialnej”. Bo dopóki nie zniknie system nakierowany na zysk i nie szanujący pracy, zdrowia i życia tych, którzy ów zysk zapewniają swoim wysiłkiem, dopóty takie książki będą powstawały. Nie o źródła energii tu bowiem idzie.

Akcja „Ceny węgla” rozgrywa się w (wymyślonej) kopalni Milton Colliery nieopodal wspomnianego Barnsley. Jej szefostwo dowiaduje się, iż zakład odwiedzi książę Karol w ramach dwudniowej wizyty w okolicy i zwyczajowego pokazywania księcia społeczeństwu, a księciu – społeczeństwu. Oczywiście nikt tu niczego nie ogląda na serio. Od początku chodzi o starannie wyreżyserowany teatrzyk. Kopalnia, jak wszystkie wówczas w Wielkiej Brytanii, jest państwowa, więc teoretycznie istnieją tam pracownicze ciała doradcze. Nikt się jednak nie przejmuje ich opiniami. Główny bohater, Syd, doświadczony górnik, zgłasza sprzeciw wobec wizyty oraz oświadcza, że jeśli mimo to dojdzie ona do skutku, to książę powinien zobaczyć kopalnię w jej stanie naturalnym. Jest to jednak gadanie do ściany. Zarząd wie lepiej, nie ma dyskusji, a jedyne, co udaje się wymóc, to tyle, żeby całą pokazówkę zrobić choć częściowo tak, aby jakieś drobne ulepszenia miały charakter długofalowy, nie tylko na czas wizyty.

I zaczyna się istny cyrk. Odnawianie tej – i tylko tej – części zakładu, którą odwiedzi „dostojny gość”. Sprzątanie, którego od bardzo dawna nie było. Sadzenie drzew i krzewów, malowanie latarni, ustawianie tabliczek informacyjnych (z łacińską sentencją Ex Tenebris Lux, co wyjątkowo zdumiewa górników rozmawiających w lokalnym dialekcie), malowanie szybu i wind pierwszy raz od dawien dawna (nie pamięta tego górnik pracujący „w Miltonie” od 30 lat), montowanie gumowych podkładek na siedzeniach kolejki wożącej węgiel, wmurowanie

pod ziemią na ścianie jednego z pokładów tablicy upamiętniającej planowaną wizytę, zamówienie srebrnej grawerowanej laski sztygara jako prezentu dla księcia. Mnóstwo zamieszania, wysiłku i kosztów. Wszystko to na tle opisanego sucho, lecz wymownie górniczego wysiłku – ciężkiej, monotonnej i ryzykownej pracy. Z upływem czasu jeszcze przybywa zadań i kosztów. Jest remont drogi dojazdowej, która od lat była dziurawa. Jest zmiana kształtu hałdy i posadzenie na niej krzewów i kwiatów. Jest remont pomieszczeń biurowych, żeby podjąć gościa w luksusowych warunkach. Kolejne pomysły, starania, wydatki. Armia ludzi krząta się wokół „odpicowania” kopalni. Pozostała część górników musi pracować jeszcze bardziej ciężko, żeby utrzymać plan wydobywania. Bo wizyta wizytą, ale funty szterlingi muszą się zgadzać.

Wspomniany Syd robi za dyżurnego malkontenta. Ale nie dlatego, że po prostu lubi narzekać. Syd ma lewicowe poglądy. Cała ta szopka z rodziną królewską to nie jest jego bajka, a co dopiero, gdy rzecz dotyczy bezsensownych wydatków i wysiłków w kopalni, w której on pracuje. W jednej z rozmów w gronie kolegów z zakładu Syd oznajmia: „Mówię o wydawaniu tysięcy funtów z pieniędzy społecznych na wizytę, która nie potrwa dłużej niż dwie godziny. Podobno nas przycisnęło, podobno wszyscy mamy zaciskać pasa? Jak można się spodziewać, że ludzie będą to brali na poważnie, skoro widzą takie rzeczy?”.

Ale inni biorą to na poważnie. Hines sprawnie odmalowuje mechanizm, który polega na tym, żeby ludzi nie mających niemal nic, uczynić dumnymi i zadowolonymi z niematerialnego splendoru związanego z de facto przypadkową w tej kopalni oraz rutynową w ogóle wizytą księcia. „Ludzie tego chcą”, „ludzie pragną”, „ludzie są zadowoleni”, „zaszczyt”, „wyróżnienie”, „wyjątkowy traf”... Takie „argumenty” zamykają usta niemal wszystkim. A komu się nie uda zamknąć ich w ten sposób – jak Sydowi czy jednemu z emerytowanych górników (o porządkach na cześć księcia mówi on: „Pracowałem w tej kopalni przez pięćdziesiąt jeden lat, ale dla mnie nigdy nie zamietli

placu”) – temu przywali się już bez patyczkowania i miłych słówek zupełnie inaczej. Słyszą, że są ekstremistami. I że w okolicznych kopalniach, gdzie działają bojowe związki zawodowe i dlatego to nie tam złoży wizytę książę, związkowcy to ponoć komuniści, choć nie ma żadnych dowodów na ich faktycznie komunistyczne poglądy czy przynależność organizacyjną. Znowu mamy tu bardzo celnie odmalowany mechanizm urabiania opinii – gdzie nie wystarczy poczucie dumy z fantomowych korzyści, tam trzeba wykreować wroga i unurzać krytyków w błocie pomówień. Nawiasem mówiąc, czytelnikom i czytelniczkom wychowanym po naszej stronie dawnej żelaznej kurtyny jedyny „komunizm”, jaki przychodzi do głowy podczas lektury – jeśli nie są maniakałną prawicą, jakiej dzisiaj pełno – to podobieństwo opisu przygotowań do wizyty księcia Karola do opisów podobnych „ustawek” na cześć PZPR-owskich kacyków.

Z czasem coraz więcej pracowników zaczyna dostrzegać absurdalność podejmowanych starań. Bo koszty rosną i rosną – okazuje się choćby, że książę przyleci jednak helikopterem, co oznacza, iż remont rzadko uczęszczanej drogi nie miał wiele sensu, za to trzeba przygotować jeszcze i lądowisko. Zanim doszło do wizyty, ulewa zmyła wszystko z dawnej hałdy i zniweczyła wysiłki oraz sprawiła, że pieniądze wyrzucono w błoto – całkiem dosłownie. Przybywa natomiast wysłannik księcia, który szczegóły pokazówki planuje ze stoperem w ręku – kto ile kroków przejdzie w jakim tempie, kto gdzie stanie, kto co powie...

Wizyta księcia odbywa się zgodnie z planem. Wszystko udało się niemal idealnie, zarząd kopalni jest zadowolony. Książę odlatuje. I wtedy trzeba zejść na ziemię. W tym przypadku – pod ziemię. A pod ziemią są pieniądze, zysk, wyniki finansowe, poziom wydobywania. Wszystko tam jest, także ludzka harówka, choć ona okazuje się najmniej ważna. Bo oto czas i pieniądze stracone wskutek przygotowań do wizyty trzeba odzyskać za wszelką cenę. Naciska na to zarząd związku kopalń, więc szefostwo kopalni Milтона naciska na pracowników. W

żołnierskich słowach dyrektor Forbes ruga sztygara Taylora i każe mu czym prędzej naprawić silnik jednego z urządzeń służących wydobywaniu węgla, choć tamten sygnalizuje telefonicznie spod ziemi, że to nie taka prosta sprawa. Co kieruje dyrektorem? „Już widzę, co teraz będzie: stracimy dwie szychty i wydobywanie spadnie. W okręgu rzucą okiem na dane i ten cholerny telefon nigdy się nie przestanie urywać” – wyjaśnia sekretarce. A sztygar pod ziemią mówi: „Wszyscy je [kłopoty] będziemy mieli, jak nie zrobimy tego silnika na piętnastce i nie zaczniemy dawać węgla. Forbes już mnie za to ochrzanił”.

Doświadczony górnik Frank Morris i praktykant Steve Oates zostali skierowani do naprawy silnika, a przy okazji mieli zrobić kilka innych rzeczy. Pośpiech, stres, brak doświadczenia młodego pomocnika – wszystko to skutkuje wybuchem metanu. Pod ziemią znajdowało się wielu pracowników. Większości udało się wydostać z rejonu wybuchu. Wśród nich był syn Syda, Tony. Ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Od razu znaleziono trzy ciała. Losy kolejnych czterech osób nie są znane przez długie partie książki. Wśród nich jest kopalniany „ekstremista” i „wichrzyciel”. Jego syn, wraz z innymi górnikami, wezwanymi rodzinami i ludźmi z lokalnej społeczności, długo czeka na wieści z dołu. Choć jest lekko ranny, zgłasza się do ekipy mającej podjąć próbę usunięcia zwałowiska, które zatrzymało oddział ratowników.

Świetnie, choć dość beznamiętnie odmalowane napięcie i oczekiwanie na uratowanie zasypanych górników jest dopełniane przez inne wątki. Na przykład rozmowy górników o przyczynach wypadku. „Robotnicy omijają przepisy bhp i nie stosują się do nich w imię produkcji, a kierownictwo przymyka oczy i ma nadzieję, że się uda” – mówi Bob Stacey. – „W końcu to nic dziwnego, no nie, jak nas tak naciskają? Gdybyśmy robili tak jak każą w książkach, to przez szychtę byśmy nie dawali nawet łyżki węgla. Wszyscy o tym wiedzą. Właściwie to aż dziwne, jak często nam to uchodzi”. A inny z górników, Jimmy, odpowiada na

to swego rodzaju manifestem wplecionym między kolejne kęsy spożywanej kanapki: „Nie mielibyśmy nawet połowy tych wypadków, gdyby zamiast wiecznego kija i marchewki była należycie zorganizowana praca... [...] Chodzi mi o to, że gdybyśmy mogli wprowadzić robotę na dniówki i samemu określać cele produkcyjne, to zapewnilibyśmy sobie bezpieczeństwo, prawda? Już byśmy dopilnowali, żeby bezpieczna praca i wydajność szły ze sobą w parze. Wtedy byśmy czuli, że to leży w naszym własnym interesie, no nie?”. Młody górnik, oczekujący na wieści o losach zasypanego ojca, przypomina sobie wówczas, iż „tata twierdził, że demokracja w przemyśle jest równie ważna jak walka o zarobki”. Nie, drodzy państwo, nie czytacie jakiegoś barrrrrrrdzo rrrrradykalnego manifestu politycznego. To po prostu literatura popularna z czasów, gdy jej twórcy mieli prospołeczne poglądy, a zarówno im, jak i wielu czytelnikom/czytelniczkom przyświecała wiara w możliwość zaistnienia świata ciut lepszego niż ten zastany. Neoliberalizm nastał kilka lat później, zniszczył i nadzieję, i przemysł, i robotnicze społeczności, w których takie myśli mogły kiełkować nie tylko wśród intelektualistów.

Opis katastrofy w „Cenie węgla” to także inne wątki poboczne, mniej wprost polityczne, ale równie wymowne. Na przykład gdy na miejsce katastrofy przybywają dziennikarze żądni tylko sensacji – to chyba początek tabloidyzacji mediów – a górnicy o mało ich nie linczują. Albo gdy później ci sami dziennikarze natarczywie nagabują czekającą na wieści o mężu małżonkę Syda, wciąż nieodnalezionego, choć z czterech zasypanych jeden już zdołał ocaleć (uratowany i niesiony przez ratowników, stwierdza: „Ale kufelek to bym wypił”), a dwóch znaleziono martwych i pokawałkowanych siłą wybuchu. Kath z wściekłością rzuca w twarz gryzipiórkom: „Poczekajcie tylko, aż to wszystko przeminie, a my wystąpimy o następne podwyżki. Wtedy to już będzie inna śpiewka, co? Wtedy to będzie chciwość górników albo spisek komunistyczny. Znów będziemy nakładać okup na cały kraj. Wszystko, byle tylko zwrócić ludzi przeciwko nam... Jakoś nie chcieliście pisać o nas łzawych kawałków, jak były strajki

w siedemdziesiątym drugim i siedemdziesiątym czwartym, co? Wtedy nie chcieliście odwiedzać nas w domach...”. Brzmi znajomo, prawda? Jak oskarżenie wobec niefikcyjnych liberalnych gadzinówek, które na przemian szczuły na górnictwo i „roszczeniowych związkowców” oraz tonęły w szlochach i wyrazach współczucia „dla ofiar tragedii i ich rodzin”, gdy w Rudzie Śląskiej i innych miastach zagłębi węglowych dochodziło do katastrof w kopalniach.

Syd przeżył. „Ma złamaną nogę, złamaną miednicę i ciężkie oparzenia piersi i ramion [...] Był nieprzytomny, kiedy go wyciągnęli...”. I to już w zasadzie koniec książki. Bez happy endu, bo trudno za taki uznać śmierć pięciu górników i poważne dolegliwości głównego bohatera. Bez moralizowania i podawania na tacy jakiejś interpretacji przeczytanej historii, bo przecież czytelnicy/czytelniczki nie są głupi. Potrafią wyciągnąć wnioski z przebiegu wydarzeń, z szastania forszą na wizytę księcia, a oszczędzania na bezpieczeństwie w kopalni. Z całego, ledwie tu wzmiankowanego, tła tej historii – realiów ciężkiej pracy, skromnego życia rodzinnego, powtarzalności i monotonii losów górniczych rodzin, w których do rangi święta urasta czy to przyjazd księcia, czy lokalne rozgrywki w krykieta. Albo z takich, zapisanych gdzieś mimochodem dialogów, jak ten, w którym rodzice i żony oczekujący na wieści o zaginionych, rozmawiają o nich. Pani Dobson o synu: „Nigdy nie powinniśmy mu byli pozwolić na pracę w kopalni. Ja zawsze byłam temu przeciwna”. Pani King o mężu: „Nasz Ronnie dopiero miesiąc temu przestał brać zasiłek. Jak zamknęli Melton Main, był bez pracy sześć miesięcy. Nie miał gdzie pójść. Nie miał wyboru, jak tylko wrócić do tego”. To wszystko. Mimo iż wiecie, jak się skończyła ta historia, warto przeczytać książkę, bo to dobra literatura o ważnych sprawach. Najważniejszych.

Autorstwo: Remigiusz Okraska

Ilustracja: P.J. Norman

Źródło: NowyObywatel.pl

BIBLIOGRAFIA

1. Barry Hines, „Cena węgla”, Książka i Wiedza, Warszawa, 1985, przełożył Robert Ginalski.